

Piotr Beniuszys Technognoza

Moment, w którym żyjemy, czasami bywa określanym jako „szczelina pomiędzy epokami”. To okres przejściowy, nie wiemy, ile lat potrwa ani tym bardziej – jaki porządek zastąpi dotychczasowy ład liberalno-demokratyczny. Nadchodzi Armagedon czy – przeciwnie – liberalna kontrofensywa? W tym stanie rzeczy przeciwnicy obecnego porządku reagują na trzy różne sposoby. Niektórzy widzą się wręcz w roli projektantów, akuszerów, konstruktorów i egzekutorów Armagedonu. Inni, pomimo poczucia wiktorii, przestrzegają przed ryzykami momentów przełomowych, potęgują napięcia, demonizując przeciwników. Jeszcze inni popadają w euforię i planują swoje miejsce i wpływ w Nowym Świecie.

Akuszerem Armagedonu pragnie zostać prawnik intelektualista Curtis Yarvin; ambiwalentną postawę przyjmuje filozof miliarder Peter Thiel; z kolei John O’Sullivan, w roli prezesa Instytutu Naddunajskiego (Danube Institute) w Budapeszcie i organizator tamtejszych Szczytów Geopolitycznych, wyrasta na postać łączącą rozległą sieć środowisk politycznych gotowych zastąpić elity liberalno-demokratyczne.

Armagedon to my

Curtis Yarvin to jeden z kluczowych mówców zeszłorocznego, piątego Geopolitical Summit, który odbył się pod hasłem *The Future of Power. Finding Order in Time of Chaos* 15 i 16 września 2025 roku. Pieniądzom Thiela zawdzięcza Yarvin zdobycie prominentnej pozycji w środowisku skrajnej, antyliberalnej altprawy. Relację opartą na długu wdzięczności wobec miliardera dzieli zresztą z aktualnym wiceprezydentem USA J.D. Vance’em, na którego potencjalną prezydenturę po styczniu 2029 roku obaj wpływowi teoretycy Armagedonu spoglądają z nadzieją, licząc na praktyczne wcielenie w życie ich wizji, czyli „Mrocznego Oświecenia” (*Dark Enlightenment*).

Kluczem do popularności tego konceptu okazała się synteza starych idei politycznych o często antycznej, średniowiecznej czy wczesnonowożytnej proveniencji z całkowicie nowoczesną myślą technologiczną. Projekt ten otwiera perspektywę urzeczywistnienia autorytarnego porządku politycznego łączącego całkowitą inwigilację i kontrolę z niemal absolutnym podporządkowaniem charyzmatycznemu przywódcy.

Yarvin odrzuca liberalizm i demokrację jako „agentów” chaosu – moralne zło. Porządek jest dobrem samym w sobie, twierdzi; chaos to zło. Z porządkiem związana jest prawica, z chaosem – lewica. Yarvin nie ukrywa swej fascynacji władzą. W jego wyobrażonej wspólnotcie nie ma miejsc wolnych od kontroli. Ideałem jest ten

rodzaj inżynierii społecznej, która nadzorem obejmie wszelkie relacje międzyludzkie. Można nawet powiedzieć, że w tej perspektywie „agentami” chaosu są nie liberalizm i demokracja, lecz indywidualni ludzie, pragnący dokonywać wyborów i podejmować różnorakie przedsięwzięcia. Wolno, jak Yarvin, używać klarownych opozycji typu „porządek-nieporządek” czy „ład-chaos”, ale prowadzą one na manowce natychmiastowych i rozstrzygających sądów moralnych. Można bowiem ten sam problem ująć jako opozycję narzuconych ogólnie restrykcji, zakazów i ograniczeń oraz spontanicznego ładu wyłaniającego się jako pokłosie wolnego funkcjonowania jednostek, co stawia już znak zapytania przy autorytatywnym werdykcie Yarvina.

Co więcej, ideologia ta pozostaje w sprzeczności z dominującym nurtem samego ruchu MAGA, będącego filarem prezydentury Donalda Trumpa. To dlatego Yarvin w tej prezydenturze widzi jedynie ogniwo pośrednie, traktując obecnego lokatora Białego Domu jako administratora okresu przejściowego, w najlepszym razie przygotowującego grunt pod moment przełomu.

Yarvin odrzuca konserwatyzm z dwóch powodów: ze względu na jego słabość, którą wykazał się w toku konkurencji ideowej z liberalizmem, zwłaszcza w ostatnich kilkudziesięciu latach, ale także ze względu na zakorzenienie konserwatyizmu w tradycji rządów prawa, podziału władz i demokracji. Opowiadając się przeciwko tej tradycji, Yarvin odrzuca także populizm ruchu MAGA. Co prawda antyelitarność zwolenników tego ruchu jest pożytecznym narzędziem w walce politycznej, ale tylko dopóty, dopóki pozostaje skierowana przeciwko elitom liberalnym, a więc służy demontażowi tzw. głębokiego państwa (*deep state*), zwalnianiu urzędników, kompromitacji mediów opiniotwórczych, marginalizacji uniwersytetów, eliminacji z debaty publicznej wszelkich ekspertów, naukowców, intelektualistów etc.

W kolejnym kroku Yarvin planuje rozbrat z aspiracjami prawicowego ludu. Celem „Mrocznego Oświecenia” jest transfer władzy nie od elit do tzw. zwykłych ludzi, tylko od elit liberalno-lewicowych do elit reprezentujących prawicowy, postliberalny autorytaryzm. Zachowanie formalnej demokracji jako ozdobnika, fasady czy sentymentalnego artefaktu minionej epoki będzie wówczas dopuszczalne tylko pod warunkiem odnawiania co pewien czas przez głosujących swojego poparcia dla niedemokratycznego modelu sprawowania władzy, która – koniec końców – całkowicie przestanie się liczyć z czymikolwiek opiniami, interesami czy protestami. Pisałem o tym szerzej w eseju opublikowanym w *PP* 192/2025. Teraz chciałbym zwrócić uwagę na inny wymiar postulowanych zmian.

Otóż w początkowym okresie swojej drogi intelektualnej Yarvin był pod wpływem neoliberalnych idei, zwłaszcza dzieł Ludwiga von Misesa i Friedricha A. von Hayeka, ekonomistów reprezentujących austriacką szkołę ekonomiczną. Niewiele jednak z tego zostało, poza zasadniczym uznaniem roli rynkowych mechanizmów w kreowaniu bogactwa, co stanowi wspólny pogląd z libertarianizmem w wydaniu współczesnych elit spod znaku *big tech*, a więc z wersją libertarianizmu wymieszaną z inspiracjami autorytarnymi, gdzie wolność jednostki została zastąpiona ideą wolności „wybranych”, dotyczy zatem nie wszystkich, lecz nielicznych (w tym sensie środki zainwestowane przez Petera Thiela w Yarvina przynoszą niezłą dywidendę). Yarvin odrzucił bowiem nauki Misesa i Hayeka. Powód jest prosty – podczas gdy oni głosili minimalizację uprawnień państwa, Yarvin okazał się absolutystą. Blżej mu do antyoswieceniowych idei Thomasa Carlyle’a i jego koncepcji jednoosobowych rządów charyzmatycznej, heroicznej jednostki, która dzierży nieograniczone uprawnienia i stoi na straży porządku.

Yarvin traktuje przy tym władzę na podobieństwo systemu operacyjnego w komputerze. Takimi informatycznymi metaforami posługuje się zresztą na każdym kroku – zarówno wtedy, gdy zmianę u władzy opisuje niczym „twardy reset” komputera, który się zawiesił, jak i wtedy, gdy oskarża liberałów o „działalność hakerską” i wzywa zwolenników do „rebootu” w postaci nowego rodzaju państwa. W tej wizji wszystko, włącznie z życiem społecznym i politycznym, podlega utrwalonym schematom. Zdaniem Yarvina systemy technologiczne i społeczne w gruncie rzeczy mają podobną naturę i podlegają tym samym zasadom. W takim ujęciu inżynieria społeczna przestaje być tabu, jakim stała się za sprawą doświadczeń historycznych XX wieku. Teraz to prozaiczna operacja programistów. Elitarny charakter wizji Yarvina opiera się więc na wyniesieniu wąskiej kadry społecznych inżynierów do rangi demiurgów przełomu, który pogrzebie demokrację liberalną i zainicjuje Armagedon, w wyniku którego człowiek wyjdzie całkowicie zniewolony.

Czyj Armagedon: nasz czy ich?

Neokonserwatyści z epoki Ronalda Reagana doszli do władzy, łącząc swój program z krucjatą moralną na rzecz tradycyjnych wartości. Na co liczą Yarvin, Vance i Thiel, w jaki sposób chcą utrzymać wsparcie ze strony MAGA? Wskazówką może być konwersja wiceprezydenta USA na katolicyzm. Ujęcie tradycyjnych wartości religijnych z perspektywy katolicyzmu wydaje się otwierać pewne pole dla narracyjnego uzasadniania elitarnego i zhierarchizowanej konstrukcji docelowej. Być może tu

tkwią źródła, które przesądziły o zwrocie Petera Thiela w stronę filozofii i eschatologii w celu zrozumienia natury Armagedonu (lub – rozwiania też własnych obaw i rozterek). Tak czy owak, to Thiel hojnie finansuje nadejście Armagedonu.

Jako student Stanfordu Peter Thiel zetknął się z René Girardem, filozofem i profesorem wspomnianej uczelni. Stał się wielbicielem i propagatorem jego teorii o relacjach religii i przemocy w procesach kulturotwórczych. Utrzymywał z nim kontakt także w latach późniejszych, zapraszając na swoje konferencje filozoficzne. Bliższy wgląd w teorie głoszone przez Thiela (a także w poglądy jego protegowanego J.D. Vance’a) ujawnia jednak znaczący dysonans pomiędzy oryginalną myślą mentora, a jej (re)interpretacją dokonaną przez miliardera. Różnica ta może być kluczowa dla zrozumienia modelu myślenia współczesnej postliberalnej prawicy.

Rdzeniem koncepcji Girarda jest teoria mimetyczna. Chcemy tego, czego pragną inni – powiada Girard. Naśladując innych, kształtujemy własne pragnienia, co rodzi rywalizację, która przekształca się w konflikt, zwłaszcza gdy stawką są status, uznanie czy rzeczy. Jak wiemy, przywódca może być tylko jeden, uznanie bywa niepodzielne, a suma dóbr do podziału ograniczona. Na koniec rywalizacja staje się ważniejsza niż sama stawka współzawodnictwa, co potęguje spiralę wzajemnej agresji i przemocy. Aby zapobiec społecznej anomii, *ludzie – twierdzi Girard – musieli odkryć sposób uporańia się z konsekwencjami tak zaraźliwego podobieństwa. To znaczy – musieli na powrót odkryć różnicę, czyli figurę „kozła ofiarnego” wraz z mechanizmem jego eksterminacji lub wykluczenia ze wspólnoty. Zdaniem filozofa na tym polega żelazna logika *sacrum*. Ofiarą może być jednostka lub mniejszość, przy czym ofiara zarówno jest obarczana winą za pogłębiający się chaos, jak też przypisuje się jej zdolność do przywrócenia porządku. Jej wykluczenie lub unicestwienie ma umożliwić dalsze wspólne życie lub przynajmniej brak wzajemnej destrukcji – dowodził Girard.*

W ten ponury obraz światło wniosła dopiero tradycja judeochrześcijańska, gdy zdemaskowała niesprawiedliwość samego mechanizmu ofiarniczego i oddała głos ofiarom; przypowieści takie jak przypowieść o Józefie i jego braciach doprowadziły do odrzucenia schematu mimetycznej przemocy. Tak zrodziła się troska o ofiary i słabszych, której współczesną postać Girard uznał za Absolut – za nienaruszalny imperatyw moralny.

Autor *Prawdy powieściowej i kłamstwa romantycznego* z obawą patrzył w przyszłość. Już w latach dziewięćdziesiątych Girard dostrzegł niebezpieczeństwo odwracania znaczeń w narracji politycznej: ci, którzy uzasadniają i uprawomocniają swoją przemoc wobec in-

nych, w istocie fałszywie portretują siebie jako ofiary, broniące się tylko przed zagrożeniem ze strony innych. W takim ujęciu to ofiara okazuje się agresorem, a droga do zastosowania figury „kozła ofiarnego” zostaje ponownie otwarta wskutek owej narracyjnej podmiany ról. W gruncie rzeczy na tym mechanizmie oparta jest cała polityka antyimigracyjna skrajnej prawicy, która uzasadnia swoją wrogość do imigrantów nie tyle własnymi resentymentami, ile rzekomym niebezpieczeństwem, jakie z ich strony grozi rdzennej ludności; to imigrant jest agresorem, zatem przemoc wobec niego jest uprawniona. Vance, który wskazał nauki Girarda jako jeden z impulsów swojej konwersji na katolicyzm, jest doskonałym przykładem takiego manipulatora. Na przykład w trakcie kampanii wyborczej z 2024 roku rozpowszechniał fałszywe doniesienia o porwaniu zwierząt domowych amerykańskich rodzin w Ohio przez haitańskich imigrantów i tym uzasadniał drastyczne środki przeciwko tej grupie ludzi.

Z takiej odwróconej wiktyimizacji również Thiel uczynił fundament swojego myślenia. Wychodząc od uwag Girarda o eskalujących cyklach rywalizacji, które generują rosnącą presję na instytucje społeczno-polityczne w ujęciu globalnym, uznał, iż Zachód stanął przed egzystencjalnym zagrożeniem. W tym sensie stanowi ofiarę, toteż zdecydowane, agresywne i prewencyjne działania rządu USA na rzecz usunięcia tego zagrożenia są uprawnioną formą przemocy broniącej się ofiary. Jeśli dotychczasowy świat się kończy, to w ramach własnej obrony można siłą forsować preferowany wariant Armagedonu. W przypadku Thiela sprowadza się to do przekonania, że w celu ocalenia Zachodu przed zagładą, w tym jego pierwotnych form kulturowych, takich jak rodzina, religia etc., należy dokonać demontażu instytucji demokratycznych, które stanowią otwarte wrota dla większości zagrożeń.

Thielowska recepcja myśli Girarda jest zaburzona w kilku istotnych aspektach, jednak zarzewie rozdziewku jest zlokalizowane w ich przeciwstawnych poglądach na naturę ludzką. Girard skłaniał się raczej ku pozytywnej wizji natury człowieka, rozwijając wątki takie jak „pozytywna mimetyka” (stale rosnący potencjał konstruktywnych i wolnych od przemocowości skutków ludzkiej skłonności do naśladownictwa) czy „radikalna otwartość” na innych ludzi (jako ogniwo wyjściowe pragnienia naśladowania, gotowości do heroizmu czy troski o innych, stopniowego wzmacniania roli wrażliwości moralnej kosztem zazdrości w procesach naśladownictwa). Jednak Thiel podążył inną ścieżką, być może prawdziwym inspiratorem jego przekonań był ktoś inny, a mianowicie Robert Hamerton-Kelly, teolog i jeden z interpretatorów myśli Girarda, radykalny pesymi-

sta, całkowicie przekonany o występnej naturze człowieka. Możliwość konstruktywnych zderzeń mimetycznych Hamerton-Kelly uznał za wiedziony skrajną naiwnością błąd: skłonność ludzi do wskazywania i karania ofiar – dowodził – jest nie tyle efektem rozwoju kulturowego możliwym do złagodzenia, ile elementem trwałej konstytucji gatunkowej człowieka, której nawet chrześcijańskie Objawienie nie mogło wyeliminować. W związku z tym przemoc wyrastająca z procesów mimetycznych jest nieunikniona, automatyczna i nieodzowna. W konsekwencji Hamerton-Kelly nadał koncepcji Girarda ściśle deterministyczny charakter i pchnął ku konfrontacji, w której wygra ten, kto skuteczniej opisze adwersarza jako agresora, siebie przedstawi jako ofiarę, a na końcu uzyska i zastosuje większy potencjał przemocowy.

To ostatnie wydaje się dla Thiela najważniejszym kryterium. Jego filozofia jest mieszkanką zredukowanej do jednego wymiaru teorii mimetycznej Girarda i nauk płynących z dzieł Carla Schmitta, Leo Straussa czy Oswalda Spenglera, którą to mieszkankę doprawił sporą dozą makiawelizmu, kalwińskiej koncepcji grzechu pierwotnego i zwyczajnej skłonności do przyjmowania postawy bezlitosnej. W napisanym pod wpływem doświadczenia 11 września 2001 roku eseju *The Straussian Moment* Thiel dokonuje rozrachunku z oświeceniowymi „naleciałościami” w kulturze zachodniej, odpowiedzialnymi – jego zdaniem – za jej słabość, dekadencję i podatność na ataki ze strony tak zdeterminowanych, kierujących się religijnymi i egzystencjalnymi celami wrogów, jak islamizm (tu pobrzmiewają wątki huntingtonowskiego „zderzenia cywilizacji”). To liberalne wartości, czyli tolerancja, orientacja na rozwiązania pokojowe i dialog, normy demokratyczne, równość i godność wszystkich ludzi – wszystkie te „wynalazki” Zachodu odebrały mu skuteczność w takiej konfrontacji, czyniąc go ślepym na nieusuwalny charakter konfliktu w polityce. Biorąc pod uwagę zawodowy *background* Thiela, warto dodać, iż za jedną z podstawowych słabości liberalizmu uznał skupienie się na celach ekonomicznych.

Thiel stawia Schmitta nad Girardem, gdy postuluje uznanie polityki za pole nieustannej bitwy, zaś różnicowanie między przyjacielem a wrogiem za kluczową umiejętność polityczną. Chce przy tym uznać chrześcijan za jedną ze stron tak zarysowanego konfliktu i stanąć u ich boku. Jednak operowanie zabsolutyzowaną dychotomią przyjaciel/wróg samo w sobie stanowi manichejską próbę redefinicji chrześcijaństwa. Według Girarda takie dzielenie ludzkości jest „gestem pogańskim” i musi prowadzić do katastrofy, zwłaszcza w epoce zglobalizowanego świata, kiedy narasta świadomość przynależności do jednej ludzkiej wspólnoty, więc stosowanie

owej dychotomii stało się bardziej destruktywne niż kiedykolwiek w przeszłości. Zamiast dawać temu upust, należy amortyzować konflikty, np. korzystając z potencjału osłabiania różnic międzyludzkich za sprawą mimetycznego upodabniania się. Girard przestrzega więc dokładnie przed tym, co absolutyzuje Thiel – przed eskalowaniem konfliktów. Trudno zerwać ze spuścizną Schmitta jaśniej, niż zrobił to Girard.

Thiel idzie w przeciwną stronę. U niego obecność figury wroga skłania do rewizji poglądów na naturę człowieka, a nawet stanowi impuls do podjęcia krucjaty, choćby tylko w celu ponownego odkrycia i lepszego zrozumienia sensu życia człowieka Zachodu. Chce co najmniej otarć się o Armagedon, ponieważ żąda od Zachodu odzyskania gotowości do walki na „śmierć i życie” – o swoje wartości i swoje przekonania. Równocześnie pragnie zdusić wszelkie tendencje na rzecz afirmacji empatii, pokory czy nawet autorefleksji po stronie Zachodu. Działanie polityczne ma być radykalnie zdeteminowane, pozbawione wątpliwości.

Thiel zupełnie pomija przestrogi Girarda, zwłaszcza jego krytykę polityki wyzwalającej mimetyczną spiralę potęgującą konflikt, którego paliwem są frustracje i re-sentymenty, często zwyczajnie generowane przez osobiste relacje i postawy decydentów. W tych procesach mimetyczni adwersarze upodabniają się do siebie i jeśli nawet któryś z nich miał pierwotnie moralną przewagę i był rzeczywiście ofiarą przemocy, to takie rozróżnienie stopniowo zanika. Następuje upodobnienie do przeciwnika, którego przecież uznaje się za egzystencjalne zagrożenie, moralne zło, źródło przemocy. Stajemy się dla niego tym samym, czym uznaliśmy, że on jest dla nas. Thiel w tym miejscu przyznaje, że stanowi to aporię, ponieważ scenariusze alternatywne dla zbrodni ludobójstwa ostatecznie przestają być dostępne.

Aby wyjść z tej pułapki Peter Thiel przywołuje najpierw Leo Straussa (1899–1973). To kolejny krytyk Oświecenia i mistrz lektury „ezoterycznej”, czyli takiej, która nakazuje rozumienie wielkich mistrzów, tak jak oni sami siebie rozumieli. Spośród współczesnych Strauss okazał się największym obrońcą klasycznej tradycji. Wychowany na Grekach i judaizmie, traktował Platona i Biblię jako fundamenty duchowe cywilizacji zachodniej. Przekonywał, że Zachód dysponuje jasną, uniwersalną wizją przyszłości, ale musi odnowić swoje przeznaczenie. Jako myśliciel promieniuje do dzisiaj za sprawą nie tylko dzieł własnych, ale także prac niemałego grona uczniów, dając „wybrany” pewność raz zdobytej prawdy (zgodnie z ezoteryczną regułą, którą głosił przez całe życie).

Dla Thiela oznacza to, że w sytuacji impasu związanego z mimetyczną eskalacją należy porzucić schematy

demokratycznej debaty publicznej. Skoro szerokie masy są niezdolne do internalizacji ponurych prawd o realiach życia ludzkiego, to potrzeba nowych ram ustrojowych, które będą efektywnie działać poza ograniczeniami systemu demokratycznych i konstytucyjnych *checks and balances*. Potrzebne jest silne, heroiczne, zdeterminowane przywództwo oraz instytucjonalna infrastruktura działająca „w cieniu” i wspierająca władzę w imię ocalenia Zachodu i wspomnianej przed chwilą odnowy jego przeznaczenia (nawet bez wyrażonej wprost zgody obywateli).

Inne nadużycie ma rozbroić moralne rozterki co do kształtu Armagedonu. Wbrew przesłaniu płynącemu z dzieł samego Girarda Thiel przypisuje mu pogląd o złej naturze człowieka. W ten sposób „pozyskuje” dla swojej argumentacji dodatkowy autorytet i proponuje, aby pogodzić się z utratą moralnej przewagi nad adwersarzem w toku mimetycznego konfliktu: skoro wygrać może tylko zło, to lepiej, abyśmy my byli owym zwycięskim złem.

Thiel insynuuje także poparcie Girarda dla swojej ontologii zbudowanej na wszechobecnej przemocy, tworząc wrażenie, że jego postulat na rzecz działających poza ramami demokracji sekretnych form władzy jest naturalnym wnioskiem z prac filozofa. Kreśli alarmistyczną wizję rzeczywistości, w której inherentna człowiekowi skłonność do przemocy oraz niedomagania demokratycznego dyskursu ponoszą winę za globalizację nieograniczonej przemocy, wobec której prewencyjne interwencje nie wymagają nawet uzasadnienia. Jest to bowiem starcie nie tyle geopolityczne, ile przede wszystkim kulturowe. Dodajmy do tego jeszcze inną konstatację Thiela. Otóż dowodem na stagnację Zachodu (swoistą „wewnętrzną pustkę”) ma być jego niezdolność do urzeczywistnienia własnych wizji futurystycznych sprzed dekad, w rodzaju *Star Trek*a lub choćby *Jetsonów*. Barierą hamującą technologiczny postęp są – zdaniem miliardera – struktury społeczno-polityczne, które muszą zostać rozbite. Ostateczny rozbrat z Girardem następuje więc w miejscu, w którym filozof przestrzegał przed wyzwoleniem niekontrolowanej spirali przemocy grożącej zniszczeniem struktur społecznych powstrzymujących ową przemoc, zaś Thiel – świadomy przecież tej przestrogi – domaga się właśnie likwidacji tych ograniczeń. Jego celem okazuje się nie tyle powstrzymanie katastrofy, ile jej wywołanie, oczywiście podług własnej recepty.

Miliarder przebył długą drogę od katechona, który chce powstrzymać destrukcję, do agenta destrukcji. To także droga od Girarda do Yarina. Aby podkreślić powagę sytuacji, Thiel przywołuje nawet fatalistyczne uwagi Oswalda Spenglera (1880–1936), kolejnego krytyka nowoczesnego świata wieszczącego przed stu laty nieuchronny upadek Zachodu. Thiel jest przekonany,

że to w naszych czasach nastąpi Armagedon zachodniej cywilizacji, który może zakończyć się albo całkowitym upadkiem jej kultury, albo przełomem w formie ukonstytuowania postliberalnego ładu, elitarnego, z silnym przywództwem, wolnego od ograniczeń rządów prawa etc. Warunkiem przetrwania Armagedonu jest więc zdolność Zachodu do mentalnego przełomu zakładającego odrzucenie „gnijącej” liberalnej demokracji i ufne oddanie się w ręce rzeczników nieuniknionego autorytaryzmu nowej epoki, być może w postaci kreślonego przez Spenglera cezaryzmu. Prezydentura Trumpa jest w tym planie okresem przejściowym, ogniwem inicjującym chaos, który z kolei wyzwoli oczekiwaną zmianę ustrojową przywracającą elementarny porządek w kraju i na świecie. Do tego czasu Thiel zaleca unikanie rozgłosu i otwartej konfrontacji, podpowiada stopniowe i metodyczne rozsiewanie nowych idei oraz organizowanie instytucjonalnego zaplecza, które pozwoli rozkrzewić te idee. Temu służy konstruowanie coraz to nowych „kozłów ofiarnych” (imigrantów, liberałów itd.). Dobór takich czy innych obiektów gniewu jest mniej istotny niż „funkcjonalność” wroga dla umacniania radykalnie prawicowych przekonań, usprawiedliwiania politycznej przemocy czy tłumaczenia przesłanek końca liberalnego świata.

Ostatni element konstrukcji Thiela to Antychryst. Pytanie, kto nim będzie, domaga się klarownej odpowiedzi. Dlatego w stan oskarżenia Thiel stawia liberalizm. Obarcza go winą za tworzenie swoistej religii strachu, która ma przekonać społeczeństwo, że nadzieja leży w utrzymaniu reguł demokratycznych, trójpodziale władzy czy globalnych organizacjach w rodzaju ONZ. Apelując o stawienie czoła liberalnemu złu, Thiel wzywa chrześcijan wszystkich Kościołów do poparcia potężnego katechona, który powstrzyma lub odroczy nadejście Antychrysta.

W ocenie Thiela współczesnym katechonem mogą być tylko Stany Zjednoczone. W świecie pogrążonym w walce dobra (silna władza i nowe technologie) ze złem (demokracja i globalne instytucje), jedynie rządzący Ameryką będą w stanie powstrzymać nadciągający koniec historii. To kluczowy moment. Jest to chwila, kiedy Thiel wykracza poza ramy jakkolwiek rozumianego chrześcijaństwa. Ewangelie mówią jasno – tylko Bóg może doprowadzić do końca świata. Antychryst to symbol pychy, która wiedzie na manowce. Projektując wizję „Armagedonu na własnych warunkach”, Thiel instrumentalizuje religijne przesłanie i wykorzystuje kategorie teologiczne takie jak Antychryst do legitymizowania władzy i przemocy. Bo przecież fantazje o przezwyciężeniu ludzkiej śmiertelności, o uzyskaniu cyfrowo-wirtualnej wersji ludzkiej świadomości, o wiecznej perspektywie

istnienia zmiernają w istocie w stronę stworzenia „nowego człowieka” lub *hiperczłowieka*. Są to wyobrażenia będące na antypodach chrześcijańskiej wizji człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Boga. Więcej – stanowią jej absolutne zanegowanie. Chrystus, Syn Boży, stał się przecież człowiekiem, częścią ludzkiego świata, by umrzeć na krzyżu. Idea wyjęcia człowieka poza cielesność i śmiertelność jest transhumanistycznym zaprzeczeniem tej ultimatywnej ofiary. Stanowi negację Chrystusa, a przeciwieństwem Chrystusa jest właśnie Antychryst.

Pozostając więc w ramach retoryki i najwyższych możliwych kwantyfikatorów (które przecież Thiel sam proponuje), należy zadać – nasuwające się jakże uporczywie! – pytanie: czy w świetle kryteriów samego Petera Thiela Antychrystem nie jest właśnie sam Thiel, a cała jego filozofia – uzasadnieniem roli, którą ma odegrać w teatrze świata (zgodnie ze wskazówkami Leo Straussa, aby uprawiać „ezoteryczną”, ukrywającą kluczowe prawdy retorykę)?

W ostatnich tygodniach Thiel gościł w Rzymie z serią czterech wykładów, w których przedstawił swoją wizję świata. Reakcja Papieskiej Akademii Teologicznej była stanowcza. Opublikowany na stronie internetowej Akademii dokument nie tylko polemizował z najbardziej mesjanistycznymi tezami Thiela, ale również ostrzegł przed rozpowszechnianiem „amerykańskiej herezji”. W swoich wykładach Thiel oczywiście nawiązał do biblijnego pojęcia katechona – siły, która powstrzymuje nadejście Antychrysta. Jego zdaniem rolę katechona pełniły dotąd tradycyjne państwa narodowe, rodzina, religia etc. Z chwilą, gdy one zanikną, powstała próżnia wypełnią organizacje międzynarodowe i globalne korporacje, tworząc system tożsamy z figurą Antychrysta. Zdaniem komentujących mamy tu do czynienia z kolejną odmianą gnozy – z „technognozą”.

Po Armagedonie – czas na nas

Cywilizacyjne, geopolityczne i technologiczne wątki w narracjach Yárvina i Thiela odnoszą się również do Europy. W oczach administracji Trumpa Europa to miejsce zagrożone kulturowym regresem; należy więc zmusić Europę do „zmiany kursu” – po pierwsze – przez rozbitcie ponadnarodowych i unifikujących struktur Unii Europejskiej oraz – po drugie – przez usunięcie obcych naleciałości kulturowych nagromadzonych w toku błędnej polityki migracyjnej. Te i inne oczekiwania znajdują najbardziej konkretny, jak dotąd, wyraz w nawiązaniu ścisłej współpracy na płaszczyźnie krzewienia idei postliberalnych. Ośrodkiem, który stawia sobie takie zadanie, jest kierowany przez Johna O’Sullivan (dawnego doradcę Margaret Thatcher, który porzucił klasyc-

ny konserwatyzm) Instytut Naddunajski (*Danube Institute*) w Budapeszcie.

Wśród ludzi tworzących Instytut przeważają anglosascy analitycy, którym przedstawiciele węgierskich agend rządowych głównie potakują. Dość szczególna jest pozycja lidera projektu networkingowego Instytutu, amerykańskiego myśliciela Roda Drehera, którego w to miejsce przywiodła perspektywa zmian podobnych do tych, które postuluje Peter Thiel, a więc „wielkiej duchowej walki” o losy świata z udziałem „aktywności demonicznej”. Diagnoza Drehera jest z gruntu katastroficzna: dotychczasowy ład chrześcijańskiej cywilizacji pruje się w szwach. Toteż w nadchodzącym Armagedonie Dreher widzi głównie szansę na wstrząs, dzięki któremu z ruin liberalizmu wyłoni się odnowione chrześcijaństwo, zaś atak na liberalne rządy przyniesie zwycięstwo stronnictwom „białych”, ludziom o rdzennym europejskim pochodzeniu. Tak powstanie świat, w którym on, Rod Dreher, znów poczuje się „jak w domu”.

Większość współpracowników Instytutu woli jednak konkrety od abstrakcyjnych rozważań. Zamiast o naturze Armagedonu rozmawia się tam o nowym porządku świata po przełomie (cokolwiek miałyby to znaczyć) i o korzyściach z przyszłej, dominującej pozycji skrajnej prawicy. Budapeszt pod rządami Viktora Orbána stał się przyczółkiem starań o przeobrażenie kultury politycznej Europy na podobieństwo Stanów Zjednoczonych, z silnym oddziaływaniem czynnika religijno-kulturowego, uwolnieniem rasizmu od szyldu „temat tabu” i powrotem do modelu geopolityki sprzed 1945 roku. Wśród problemów najintensywniej debatowanych na konferencjach Instytutu z corocznymi Szczytami Geopolitycznymi na czele przeważają: rozkład struktur międzynarodowych, przewartościowanie tradycyjnych sojuszy i likwidacja modelu bezpieczeństwa zbiorowego (skażonego globalizmem, czyli ponadnarodową infrastrukturą instytucjonalną, uderzającą w suwerenność państw narodowych); „reforma” demokracji poprzez – po pierwsze – marginalizację środowisk i ich reprezentacji politycznych, które nie chcą dzielić resentymentów nacjonalistycznych, oraz – po drugie – poprzez redefinicję samych reguł demokratycznych, gdyż obecne mają wspierać interesy elitystycznych struktur; zablokowanie migracji i ograniczenie jej dotychczasowych następstw; odrzucenie narracji ekologicznych, odejście od rozwoju energii odnawialnych i powrót do nieskrępowanej eksploatacji złóż mineralnych.

Na ubiegłorocznym szczycie Instytutu Naddunajskiego Curtis Yarvin domagał się ponadto porzucenia konsensusu ukształtowanego po drugiej wojnie światowej zarówno w wymiarze politycznym, jak i ideologicznym. Obecnie pojawia się szansa na wyzwolenie spod

jarzma narzuconych wtedy ocen moralnych i werdyktów historii – konstatował Yarvin. Otwiera się również możliwość ukazania w pełni natury „progresywnego dżihadu”, który od kilku dekad podmywa fundamenty kulturowe Zachodu. Odrzucić należy zatem wszelkie modele integracji międzypaństwowej, przywrócić tradycyjne rozumienie suwerenności narodowej (narody i państwa są suwerenne tylko wtedy, gdy są w stanie skutecznie prowadzić wojny). Słowem: należy przejść do świata skrajnie multilateralnego, w którym układ sił stale podlega weryfikacji i dopasowaniu do faktycznych potencjałów militarnych.

Do tej wyliczanki należy też postulat odrzucenia prawa międzynarodowego. Wyzwania najcięższego kalibru wymagają przecież „elastycznego” podejścia, nieskrępowanego normami, co wymaga uchylecia regulatywnej mocy zobowiązań międzynarodowych. Taka tendencja obecnie nabiera tempa wraz z prezydenturą Trumpa. Jest to w ocenie rzeczników tej prezydentury korzystne zjawisko, zwłaszcza wobec liberalnych ciągów, aby norm prawnych czy struktur międzynarodowych używać jako narzędzia przymusu, w relacjach międzypaństwowych.

Wątki te rozwijał na tym samym forum także Gladden Pappin, kolejny Amerykanin stojący na czele węgierskiej instytucji, a mianowicie przewodniczący państwowego Węgierskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Ten bliski współpracownik czołowego krytyka liberalizmu Patricka Deneena (wspólnie zakładali na Substacku profil *Postliberal Order*) i redaktor *American Affairs* podkreśla, że żyjemy obecnie w swoistym *interregnum*, którego czas trwania jest nieznanym, może być nawet bardzo długi. To czas zapaści liberalnego ładu globalnego, którego fundamentem pozostawała przez długie lata logika zimnowojenna. Bez tego fundamentu stracił on rację bytu. Dla państw narodowych powinien to być sygnał do ignorowania infrastruktury dotychczasowego porządku (na czele z ONZ, Międzynarodowym Funduszem Walutowym, UE, NATO etc.). Liberalny porządek gaśnie na naszych oczach – dowodzi Pappin – przestał być oparciem dla kogokolwiek poza naszymi przeciwnikami; logiczną i nieuniknioną konsekwencją tego stanu rzeczy będzie nowe „układanie świata”. Europa nie jest na to gotowa, ale nie jest też w stanie bronić dawnego ładu, wstydy się swoich kulturowych korzeni, sieje obstrukcję, sypiąc piach w tryby relacji USA i Rosji.

Najbliższym partnerem Instytutu Naddunajskiego w USA i współorganizatorem Szczytów Geopolitycznych jest osławiony waszyngtoński think-tank Heritage Foundation. W tej placówce powstał *Projekt 2025*, czyli strategia, której urzeczywistnienie pozwoliłoby nadać Stanom Zjednoczonym cechy państwa autorytarne

w drugiej kadencji Trumpa (od niedawna pracuje tam były prezydent Polski Andrzej Duda). Przedstawiciel zarządu tego think-tanku James Jay Carafano nakreślił na ostatnim Szczycie motywy zainteresowania Europą skrajnej prawicy zza Atlantyku. Według niego Ameryką powoduje wyłącznie troska o losy Starego Kontynentu. Nie idzie nawet o interesy gospodarcze – USA mogłyby teoretycznie zrezygnować z wszelkich relacji z Europą i przestawić swe wektory wymiany na inne części świata. Gdy więc bronią „pełnej wolności słowa” w Europie (w tym nieskrępowanego publikowania treści wzywających do przemocy i nienawiści w amerykańskich mediach społecznościowych stosujących manipulację algorytmiczną), to czynią to tylko z obawy o przyszłość podupadającej Europy, chcą ochronić ją przed „autodestrukcją”.

Eksperskim głosem w sprawach migracji był z kolei Fabrice Leggeri, były dyrektor europejskiego Frontexu, który krótko po odejściu ze stanowiska został politykiem, radykalnym krytykiem europejskiej polityki migracyjnej, a w 2024 roku eurodeputowanym z listy skrajnej prawicy Marine Le Pen. Francuz ubolewał nad „paneuropejskim zamazaniem granicy” pomiędzy obywatelem a imigrantem, a także nad tym, że narody Europy utraciły prawo do granic. Przyczyn tej delegitymizacji granic dopatrywał się w zaszczepionym Europejczykom wstydzie – oskarżenia o rasizm, kolonialną eksploatację, niewolnictwo obarczyły europejską cywilizację brzemieniem, w świetle którego ideologia *woke* i multikulturalizm skutecznie wymusiły otwarcie granic w ramach zadośćuczynienia za grzechy przodków. Zanikają więc ramy geograficzno-kulturowe, które nadawały spistość Europie i oddziaływały ją od innych. Poza tym Leggeri postulował ochronę narodowych kodów kulturowych, domagając się surowych kar za podważanie partykularnych tradycji (co raczej kłóciło się z trumpistowskimi postulatami totalnej wolności słowa).

Formalne związki z Instytutem Naddunajskim ma także były główny negocjator Brexitu David Frost, członek brytyjskiej Izby Lordów. W trakcie Szczyciu uzupełnił on jego agendę o krytykę europejskiej polityki energetycznej (odnawialne źródła energii są nieefektywne, kosztowne, a w dodatku – niezdolne do wyprodukowania wystarczającej ilości energii). Mówiąc krótko: transformacja energetyczna nie ma sensu, a w dodatku Zielony Ład pozbawi Europę jakiegokolwiek znaczenia ekonomicznego i geopolitycznego.

Lista partnerów budapesztańskiego instytutu jest długa. Ze Stanów Zjednoczonych poza Heritage należą do tego grona takie podmioty jak Instytut Idei Amerykańskich (wydawca pisma *The American Conservative*), organizacja o korzeniach neokonserwatywnych

i od dawna wspierająca karierę polityczną wiceprezidenta Vance’a, oraz Instytut *America First*, konserwatywny think-tank o profilu głównie gospodarczym, założony po porażce Trumpa w wyborach 2020 roku, zwany *Białym Domem w stanie zawieszenia* i stanowiący przechowalnię polityków liczących na uzyskanie stanowisk po powrocie Trumpa do władzy.

Ale Instytut Naddunajski ma także kontakty w innych miejscach świata, których sieć tworzy swoistą altprawicową czy postliberalną „międzynarodówkę”.

Wśród partnerów można też wskazać jeden podmiot z Polski. Jest to Instytut Warszawski, placówka zorientowana na problematykę geopolityczną, zwłaszcza na wspieranie Inicjatywy Trójmorza i współpracy regionu Europy środkowej z USA. Poza tym Instytut Naddunajski współpracuje również z wieloma instytucjami węgierskimi: Kolegium im. Mathiasa Corvina (finansowaną całkowicie przez rząd Węgier instytucją edukacyjną promującą „wartości konserwatywne”) oraz Centrum Praw Podstawowych (prorządowym instytutem analitycznym o profilu konserwatywno-nacjonalistycznym, głównym organizatorem konferencji CPAC w Budapeszcie, którego zadaniem jest propagandowa obrona rządu Orbána przed międzynarodową krytyką).

Pierwszym, niemal odruchowym założeniem towarzyszącym podsumowaniu aktywności naddunajskiej platformy współpracy jest przekonanie o przepływie środków finansowych zza Atlantyku do Budapesztu, zwłaszcza że Instytut wydaje się naturalnym narzędziem promocji amerykańskiej altprawicy w Europie. Wolno więc zakładać, że to z USA pochodzi lwia część jego subwencji. Tymczasem jest odwrotnie. Instytut jest w całości finansowany z węgierskich środków publicznych, za co odpowiada powołana przez rząd Orbána Fundacja im. Lajosa Batthyány’ego, która zresztą zainicjowała powołanie Instytutu w 2013 roku. Wydatki Instytutu Naddunajskiego rosną z roku na rok, honoraria dla jego zagranicznych kontrybutorów sięgają już co najmniej 300 milionów forintów (ponad 3 milionów złotych) rocznie. Nieznana jest jednak kwota, która płynie z Węgier bezpośrednio do Fundacji Heritage, która zawarła z Instytutem w 2023 roku umowę nazwaną przez szefa Heritage, Kevina Robertsa, dokumentem inicjującym *przełomową współpracę*. W każdym razie rok później *New Republic* uznała umowę za akt *podboju* amerykańskiej fundacji przez premiera Węgier, którego promocja w USA stała się odtąd jednym z głównych obszarów aktywności Heritage.

Co jednak Orbán zyskuje na tej współpracy poza narzędziem kształtowania opinii konserwatywnej części Ameryki? To zapewne staje się bardziej czytelne w przededniu węgierskich wyborów parlamentarnych i pu-

blicznego poparcia premiera Węgier ze strony J.D. Vance'a podczas jego wizyty w Budapeszcie. Jest też inny aspekt sprawy. Otóż Orbán to polityk, który – silniej niż inni przywódcy – orientuje się na inspiracje z dziedziny filozofii polityki. Jest przekonany, że Yarvin, Thiel czy Dreher mają słuszność i świat Zachodu stoi przed wielkim przełomem. A skoro tak, to zasady gry ulegną zmianie i małe, dotąd zwykle pomijane i lekceważone, Węgry mogą stać się – jak w XIX wieku – znowu istotnym ośrodkiem politycznym. To dlatego, dysponując potężnym sprzymierzeńcem zza oceanu, premier Węgier buduje bazę dla swojej wymarzonej roli, czyli lidera europejskiego odpowiednika ruchu MAGA (czy też raczej MEGA – *Make Europe Great Again*). Jeśli zatem w świecie postliberalnym Orbán zostałby takim liderem, to obecne inwestycje realizowane za pośrednictwem Instytutu Naddunajskiego okażą się niewiele znaczącą kwotą, po prostu – drobnizną.

* * *

Z jednej strony, można argumentować, że idee Curtisa Yarvina, J.D. Vance'a, Petera Thiela, Roda Drehera czy ludzi pokroju Johna O'Sullivaniana i Davida Frosta nie są niczym nowym. Postliberalizm trzeciej dekady XXI wieku brzmi jak próba wypowiedzenia samospełniającej się przepowiedni: upadek liberalnej demokracji jest nieunikniony, a na polu walki o przyszłość świata pozostanie ostatecznie tylko skrajna altprawica. Jednak proponowane zamienniki to idee stare, często anachroniczne. To zużyte, negatywnie zweryfikowane, programujące własną klęskę idee, które w dobie kaskady kryzysów liberalnego świata zostały przywrócone do głównego nurtu niejednokrotnie w tandetnym przebraniu. Yarvin jest prorokiem przednowożytnego absolutyzmu uzbrojonego w cyfrową technologię. Vance flirtuje z katolickim integralizmem, przy czym jego polityczna teologia domaga się podporządkowania świeckiej władzy religijnym dogmatom. Thiel i Dreher głoszą historię końca świata jak niejeden przed nimi domorosły „Nostradamus”. O'Sullivan i Frost najzwyczajniej postulują powrót do dziewiętnastowiecznego „koncertu mocarstw” oraz odkurzają ułudę całkowitej suwerenności narodowej.

Liberalizm ze wszystkimi tymi przeciwnościami już mierzył się w swojej historii i wychodził z tych konfrontacji zwycięsko. Zadanie to powinno więc być dzisiaj prostsze aniżeli sto lat temu, gdy ideowi poprzednicy współczesnych liberałów musieli mierzyć się z ofensywą faszyzmu, nazizmu czy komunizmu, od zera rozwijając swoje pojęciowe, doktrynalne, aksjologiczne instrumentarium antytotalitarne. Należy więc na nowo przemyśleć dawne argumenty i sprawdzone metody walki, trzeba odnowić stare prawdy. Jak pisał Friedrich August von Hayek, fałsz raz wykazany należy wykazywać po wielo-

krát wraz upływającymi dziesięcioleciami. Współcześni liberałowie stoją na ramionach gigantów filozofii politycznej minionych epok, powinni więc po ten dorobek odważnie sięgnąć.

Jednak z drugiej strony w jeremiadach współczesnych postliberałów istnieje pewien pierwiastek nowości. Nie tyle w treści, ile w odniesieniu do deklarowanej metodologii. Otóż nie są oni konserwatystami – na pewno ich celem nie są ewolucyjne przemiany, a motorem działania – troska o utrzymanie równowagi społecznej czy poczucia bezpieczeństwa. Ale nie są także reakcjoniastami – choć ich idee przynależą do przeszłości, trudno dostrzec w ich poczynaniach pragnienie restauracji dawno minionego ładu. Są przekonani, że współczesność to gnijący świat, który napawa ich kulturową desperacją, wierzą, że świetność już była. Jednak ich recepta nie zakłada ruchu wstecz; ich receptą jest nagły, gwałtowny i brutalny ruch do przodu. Tylko wtedy, kalkulują, pozostaną zgłiszczą z liberalnych ideałów. Nie będą więc niczego przywracać ani konserwować. Zbudują swój własny świat, choćby i od zera. Świat ich wartości, z których naczelną jest zemsta. ■

Piotr Beniuszys – politolog i socjolog, tłumacz, zajmuje się historią liberalizmu i ewolucją zachodnioeuropejskich partii liberalnych, członek zespołu redakcyjnego i publicysta „Liberté!”. Ostatnio wydał „Bariery dla liberalizmu” (2022).